

KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misji Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2020, nr 1



*Po doświadczeniach wojny
Sudan Południowy pragnie pokoju
i woła o nowych misjonarzy.*



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Cieszę się bardzo, że po raz kolejny, możemy się z Wami spotkać na łamach naszego czasopisma misyjnego. Poprzez ten biuletyn chcemy zagościć w Waszych rodzinach i domach, i podzielić się częścią naszego misyjnego życia. Opowiedzieć Wam o troskach i radościach oraz o owocach pracy misyjnej, których duchowo i materialnie jesteście uczestnikami.

Misjonarze mają to do siebie, że dużo pracują dla ludzi tubylczych, pomagając im w różnych dziedzinach życia, a zarazem mało o tym opowiadają, a tym bardziej piszą. Wśród dwunastu misjonarzy kapucynów są tak zwani „niepiśmienni”, ale zawsze mogą liczyć na słowo od tych najstarszych stażem. Również i tym razem najwięcej opowiedzą nam o życiu w Afryce bracia Robert Wieczorek i Piotr Michalik oraz Piotr Walocha i Maciej Jabłoński. Jednak wieści od br. Roberta Wieczorka płyną nie z Ndim w Republice Środkowoafrykańskiej, a z Sudanu Południowego, dokąd z br. Augustynem Chwałkiem udali się w połowie stycznia tego roku. Po powrocie do Polski br. Robert przygotował ciekawą relację z ich dwutygodniowego pobytu w tym najmłodszym kraju świata (uzyskali niepodległość w 2011 r.) i wyjaśnia nam cel swojej podróży. Razem z ludem tego kraju czekaliśmy na dzień 22 lutego i modliliśmy się, aby wreszcie zwaśnione plemiona porozumiały się i utworzyły wspólny, różnoplemienny rząd. I tak się stało. Prezydent Salwa Kiir powołał nowy rząd koalicyjny, który ma doprowadzić do wyborów parlamentarnych w ciągu trzech lat. Na pewno na tę decyzję miały wpływ naciski organizacji międzynarodowych. Misjonarze pracujący w Sudanie Południowym podkreślają, że jest to już trzecia próba

pogodzenia się zwaśnionych plemion i podzielenia władzy. Mają nadzieję, że tym razem uda się rozpocząć proces pojednania i proszą nas o modlitwę w tej intencji. Prezydent w swoim przemówieniu odwołał się do ubiegłorocznych rekolekcji wiekopostnych zorganizowanych dla przywódców tego kraju w Watykanie i do bardzo znaczącego gestu papieża Franciszka – ucałowania ich nóg, przez który Papież wyraził wielką prośbę o pokój w tym kraju.

Podczas moich spotkań z sympatykami misji, na których opowiadałem o pracy misyjnej w Afryce, słuchacze zadają niejednokrotnie różne pytania. Mam nadzieję, że szczegółowa relacja br. Piotra Michalika z wyjazdu do wioski i to, co go tam spotkało, zaspokoi ciekawość czytelników.

Jak ważne są przysłowia w kulturze plemienia Ngambay w Czadzie wyjaśnia nam br. Piotr Walocha. Mam nadzieję, że dzięki br. Piotrowi, w następnych numerach biuletynu, będziemy mogli poznawać kolejne mądrości życiowe tego plemienia wyrażone w przysłowiaach.

W aktualnym numerze możemy się zapoznać z przebiegiem tegorocznej akcji „Wyślij pączka do Afryki”. Akcja przeprowadzana po raz ósmy cieszy się dużą przychylnością i z roku na rok się rozwija. Tę coraz większą popularność akcji można określić fenomenem „pączkowania dobra” jednych dla drugich.

Życzę miłej lektury i dziękuję za Wasze wsparcie. Bez Was byłyby niemożliwe wspaniałe dzieła miłości, które czynią misjonarze wśród najuboższej ludności tego świata. Bóg zapłać

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny

Drodzy Przyjaciele misji,

w imieniu Braci misjonarzy, pracowników Fundacji Kapucyni i Misje oraz chrześcijan z Republiki Środkowoafrykańskiej i Czadu pragnę Wam złożyć płynące z serca życzenia wielkanocne. Niech Chrystus „życie i nadzieja nasza” obdarza Was miłością i pokojem. Wspiera w trudnościach i chorobach. Usurwa wszelki lęk z serc Waszych, abyście z odwagą i radością swoim życiem głosili Jego zmartwychwstanie. A idąc przez życie Jego drogą doszli do wiecznej światłości, gdzie króluje Bóg Wszechmogący pośród Aniołów i Świętych. Chrystus zmartwychwstał Alleluja!



Wyślij pączka do Afryki

Akcja pomocy pod hasłem „Wyślij pączka do Afryki” trwa już kolejny raz w tym roku.

Pomoc polega na tym, żeby zamiast zjadać się słodkościami w tłusty czwartek – podarować zdrowie choremu dziecku! Jest to również forma złożenia ofiar w ramach jałmużny wielkopostnej.

Rachunek jest prosty:

darowizna = posiłki dla osieroconych dzieci
darowizna = opieka medyczna i leki dla dzieci
darowizna = nowy budynek szpitala dla chorych dzieci
darowizna = nowe domy dla ubogich
darowizna = czysta, zdrowa woda z 2 nowych studni
darowizna = nowa budynek szkoły w buszu
darowizna = remont 14 kaplic w wioskach
darowizna = nowe boisko, plac zabaw, zajęcia dla dzieciaków i wiele innych

Ci, którzy chcieli pomóc, mogli kupić prawdziwego pączka w szkole lub w parafii, tam, gdzie były organizowane kiermasze i zbiórki pieniędzy dla podopiecznych misjonarzy kapucynów.

Darowizny można też nadal wpłacać na konto naszej Fundacji Kapucyni i Misje, bo potrzeby w Afryce są tak wielkie, że nie udało się ich szybko zaspokoić.

W pomoc włączyli się zarówno ci, którzy pączki kupują, jak i ci, którzy odmówili sobie tej przyjemności. Prawie 5 tys. osób indywidualnych wsparło naszą akcję!

Do pomocy afrykańskim rówieśnikom przyłączyli się również uczniowie z ponad 350 szkół w całej Polsce. Kiermasze organizowane były w przedszkolach, parafiach i zakładach pracy.

Jesteśmy poruszeni tegorocznym odzewem tak wielu ludzi, którzy na apel misjonarzy kapucynów pracujących w Afryce, wpłacili darowizny i w ten sposób przyłączyli się do pomocy ludziom ubogim i potrzebującym.

Misjonarze w pierwszej kolejności proszą o datki na posiłki dla sierot, domy dla ubogich, lekarstwa dla cierpiących i umierających.

Te podstawowe potrzeby nie są zaspokajane w Republice Środkowoafrykańskiej i Czadzie. Czasem ludzie w Polsce, mimo, że tak dużo wiedzą o świecie, nie mogą uwierzyć, że misjonarze codziennie widzą niedożywione dzieci i że można im pomóc za jedną złotówkę dziennie! Nie wierzą, że ludzi dorośli i dzieci piją brudną wodę, taką, w której my nie zamoczylibyśmy rąk. Nie mogą zrozumieć, że rodzice przynoszą do szpitala dzieci umierające, ponieważ czekają z tym do ostatniej chwili, nie mając pieniędzy na leczenie.

To na szczęście nie są codzienne problemy Polaków, ale musimy powiedzieć, że nasz naród jest hojny i współczujący.

W imię solidarności z ubogimi i głębokiego zrozumienia słów Chrystusa „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” pomagamy, dzielimy się tym co mamy, a nie tym co nam zbywa.



**PODARUJ
DZIECIOM
ZDROWIE**

**WYŚLIJ PĄCZKA
DO AFRYKI 2020**

To naprawdę piękne i budujące doświadczenie. Zauważamy to przy każdej okazji, kiedy prowadzimy jakąś zbiórkę. Ale szczególnie widać to przy akcji „wyślij pączka do Afryki”. Tysiące ludzi wpłacających darowizny, setki nauczycieli organizujących kiermasze w szkołach i przedszkolach. Ogromna rzesza wolontariuszy kwestujących w parafiach.

Polska tradycja objadania się w tłusty czwartek słodkimi pączkami zamienia się w dzień Wielkiego Pomagania!

Dziękujemy i otaczamy modlitwą wszystkich dobrodziejów i darczyńców misji kapucyńskich w Afryce.



Pokój i dobro

pisze br. Piotr Michalik z Ngaoundaye w Republice Środkowoafrykańskiej ●●●●●

Kilka godzin temu wróciłem z weekendowego wyjazdu do wiosek.

Na czym taki kilkudniowy wyjazd do wiosek polega? Przede wszystkim trzeba go starannie przygotować: powiadomić ludzi w wioskach o swoim przyjeździe, aczkolwiek lubię czasami zaskoczyć wiernych nie uprzedzając ich wcześniej, przygotować samochód (by w połowie trasy nie odmówił posłuszeństwa), zebrać wszelki sprzęt potrzebny do sprawowania liturgii, wyświetlania filmów i wykonania zaplanowanych prac w wioskach, „zrealizować zamówienia” zebrane podczas poprzednich wizyt, spakować walizczkę z rzeczami osobistymi (w niej nie może zabraknąć lekarstwa na malarię – bo nie znasz dnia ani godziny...) i przewidzieć rzeczy nie do przewidzenia. A życie i tak nie raz cię zaskakuje swoimi pomysłami i wtedy trzeba sobie jakoś radzić.

Z samego rana poszedłem jeszcze zobaczyć uczniów szkoły dla katechistów. Kilka dni wcześniej rozpoczęliśmy kolejny rok formacji dla nowych kandydatów na katechistów. Biorę syna jednego z nich, by w swojej wiosce wystarał się o zaświadczenie, że uczył się w takiej to a takiej klasie. Na jego podstawie będzie przyjęty do jednej ze szkół w Ngaoundaye.



W końcu po dziewiętej wyjeżdżam. Przede mną 70 km, które mam nadzieję przejechać w 4 godziny. Jednak po dwóch kilometrach zawróciłem: samochód zaczął wydawać jakiś nowy, niepokojący hałas – trzeba to sprawdzić. Nasz mechanik szybko znalazł przyczynę, a ponieważ części zamiennych nie było pod ręką, wykorzystał zamiennik domowej roboty i na nowo ruszyłem w drogę. Prawie w każdej wiosce zatrzymuję się na chwilę by pozostawić list od proboszcza dla wiernych, poprosić o zaświadczenia uczęszczania do szkoły dla

kolejnych dzieci, które ze swoimi rodzicami przyjechały do szkoły dla katechistów, czy pozałatwiać inne sprawy.

Początkowo droga, jak na tutejsze standardy, jest nawet bardzo dobra. Organizacje pozarządowe zatrudniają ludzi z wiosek do naprawiania dróg. Korzyść z tej pracy jest podwójna: droga podczas 6 miesięcy pory suchej jest w dobrym stanie, a ludzie na miesiąc (tyle przeważnie trwa tego typu akcja) znaleźli pracę i bardzo przyzwoity zarobek. Jednak ten odcinek szybko się kończy i zaczyna się... kalwaria. Można by powiedzieć, że posuwam się do przodu noga za nogą, ale to stwierdzenie do podróży samochodem nie pasuje.... Oddaje jednak dobrze rzeczywistość.

W końcu koło godziny 14 dojeżdżam do trzech ostatnich wiosek: Kaïta, Gbawe i Boyangou – miejsc docelowych mojej weekendowej wizyty. W Kaïta pozdrawiam katechistę, ustalamy program wieczornej Mszy św. i jadę do Gbawe. Tam zostawiam sprzęt do pomalowania kaplicy i dowiaduję się, że ostatni kandydat do szkoły dla katechistów nie jest gotowy by w tym roku pojechać z rodziną do szkoły. Śpieszę się – porozmawiamy o tym później i najlepiej z samym zainteresowanym. Jadę dalej, do Boyangou. Tu, po pozdrowieniach z ludźmi, którzy akurat byli obecni, instaluję się w małym pokoiku przy kaplicy – to będzie moja baza wypadowa. I wracam do Kaïta. Zawieszam w kaplicy przywieziony nowy krzyż św. Damiana. Kaplica jest pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu, więc aż się prosiło by taki krzyż znaleźć dla tej świątyni. Następnie będzie spowiedź i Msza św. Chciałem od razu po Mszy św. wyświetlić film pt. „Maryja, Matka Jezusa”, ale wspólnota najpierw zaprosiła mnie na kolację – kurę z maniokiem. Wspólnota w Kaïta jest bardzo mała, ze swoimi problemami, ale w trakcie tej wizyty czułem jakby pewien nowy powiew – jest



nadzieja i dla takich wspólnot! Zresztą z tej wioski mamy ucznia w szkole dla katechistów, więc tutejsze perspektywy się rozjaśniają... Chwała Panu.

Było już późno i ciemno, gdy po seansie filmowym wracając do Boyangou, mój wzrok padł na wskaźnik paliwa i ... zamarłem. Drugi bak samochodu był kompletnie pusty, a w pierwszym paliwo się skończyło. Nie wystarczy mi paliwa by wrócić do Ngaoundaye! Co się stało? Byłem pewien, że jak wyjeżdżałem z Ngaoundaye to drugi bak był pełen... Pewnie jakiś wyciek. Co robić? Do tego uświadomiłem sobie, że zapomniałem wziąć z misji zużyty olej, który tutaj służy do produkcji cegieł, a budowa nowej kaplicy się rozpoczyna. Oczywiście te dwie sprawy nie poprawiły mi nastroju tego wieczoru. Cóż, cała nadzieja, że w Yamba – przygranicznym miasteczku w Kamerunie uda się załatwić paliwo, choć pewności wcale nie ma.... I w takim nastroju dość wcześnie idę spać, bo zmęczenie drogą dało mi się we znaki. Nocą często przychodzą mi do głowy dobre pomysły, a o wschodzie słońca wszystko wydaje się łatwiejsze...

W sobotę wstaję dosyć wcześnie by w ciszy pomodlić się i wypić pierwszą kawę. Widzę, że u katechisty jest już kilka osób grzejących się przy ogniu, więc idę przywitać się z nimi. Przysiadam się i wystawiam na działanie nieśmiały jeszcze promień słonecznych. Przyszedłem akurat na ostatnią fazę przygotowywania kawy. Podziwiam ich, jak w tych raczej surowych, „obozowych” warunkach potrafią wspaniale funkcjonować – nic się tu nie marnuje, wszystko jest bardzo praktyczne. Np. po wsypaniu pewnej ilości cukru do kawy, rozżarzoną patyką szczelnie zamykają otwór w plastikowym woreczku, by mrówki czy inne stworzenia nie weszły do środka. Przy kawie spotykam André, szefa

wioski Gbawe. Przyszedł specjalnie by mnie zobaczyć. Przyszedł z samego rana, gdyż śpieszy się do pracy na polu z tytoniem (jest to region gdzie ludzie sporo uprawiają i teraz jest akurat sezon intensywnych prac). Na samą rozmowę udajemy się w ustronne miejsce, czyli do mojego pokoiku. Rozmawiamy o naprawie drogi, o przygotowaniach do budowy mostu w Assana. Dotykamy też tematu różnych innych potrzeb ludności tego regionu: studnie głębinowe, szkoły, ośrodki zdrowia... Ja ze swej strony kładę nacisk na to, że najpierw trzeba zająć się mostem, a wtedy, gdy droga już będzie przejezdna, organizacje pozarządowe pojawią się w regionie i zajmą się różnymi innymi potrzebami ludności lokalnej. Będzie można podzielić się tą pracą pomocową – dla każdego starczy...

Następnie naradzam się z katechistami – Ablem i Michel'em – co robić. Decydujemy się razem jechać do Yamba. Tak będzie praktyczniej. Droga Boyangou – Yamba to zaledwie 4 do 5 km, ale przejechanie tego odcinka zabiera nam sporo czasu, bo droga jest okrutnie zniszczona. Granica państwowa z Kamerunem przebiega tu wzdłuż rzeki Ngou i przekraczamy ją na moście pamiętającym jeszcze czasy niemieckiego kolonializmu przed I Wojną Światową.

Oczywiście po stronie RŚA nie ma żadnych kontroli, barier, formalności, natomiast po stronie kameruńskiej, już przy wjeździe do Yamba, stoi bariera policyjna. Tylko zastępca szefa jest tutaj obecny. Na początku nie było żadnych problemów, pozostawiam więc moją kartę pobytową. Dopiero w ostatniej chwili żołnierz podszedł do samochodu i wspomniawszy coś o zapłaceniu „formalności”... Powiedziałem, że nie ma tu takiego zwyczaju, a ponieważ niedługo będziemy wracać, to wtedy zobaczymy.



W miasteczku zatrzymuje nas lotny patrol żandarmerii, tłumacząc, że chodzi o paliwo. Jeden z nich, młody chłopak, wsiada do samochodu – będzie naszym przewodnikiem. Już wcześniej, z katechistami stwierdziliśmy, że jedynym miejscem gdzie będzie można kupić paliwo, jest... baza kameruńskich komandosów (BIR) wyszkolonych do walki ze zbrojnymi bandami. Miesiąc temu pojawili się tutaj, by wybudować bazę i kontrolować granicę z RŚA. By do nich dotrzeć muszę przejechać przez całe miasteczko. Po drodze pozdrawiamy komisarza policji, który idzie do pracy – starszy, sympatyczny pan i... czujemy na sobie badawczy wzrok mużlańskich kupców siedzących przed swoimi maleńkimi sklepikami.

Na miejscu widać z jakim rozmachem komandosi budują swoją bazę. Lądowisko dla samolotów przygotowane jest jako pierwsze, następnie budowane są obwałowania z czerwonej ziemi – kwestia podniesienia możliwości obronnych bazy. Stoi sprzęt budowlany, tymczasowe baraki, potężna prądnica.... Tłumacząc moją sytuację szefowi i proszę o 20 litrów ropy. Żołnierz zgadza się na sprzedaż paliwa. Czekając w kolejce na obsługę, akurat koparka i spychacz tankowały, jako że był to wczesny poranek, poczęstowano mnie tradycyjnym pączkiem – świeżym i pysznym.

Miałem czas na rozglądnięcie się i rozmowę z moim przewodnikiem – żandarmem. Już 4 lata jest w wojsku, od kilku miesięcy w Yamba. Wyślanie go do Yamba na pewno nie jest promocją – to jest taki kameruński „koniec świata”. Żandarm jest muzykiem – śpiewa, gra na gitarze. Podróżując do większych miast, występował w kawiarniach i restauracjach. Jest kato-

likiem. Stara się utworzyć tutaj chór. Ma jednak problem: nie zna tutejszego języka gbaya, a miejscowi ludzie posługują się językiem francuskim w stopniu niedostatecznym. Takie są afrykańskie realia. Jednak nie zniechęca się. W trakcie rozmowy zauważam, że posiada dość zaawansowaną, jak na tutejsze warunki, znajomość wiary katolickiej... Brawo.

W końcu przychodzi i na mnie kolej tankowania, dostaję 30 litrów (takie mają bidony), a szef bazy nie za bardzo wiedział czy ma brać ode mnie zapłatę czy nie, bo nigdy wcześniej nie sprzedawał paliwa. Dlatego ja podejmuję decyzję i płacę mu – naprawdę wybawili mnie z opresji.

W powrotnej drodze odbywamy jeszcze krótką, kurtuazyjną wizytę na żandarmerii. W centrum miasteczka szukamy zużytego oleju. Mamy szczęście – ktoś obiecuje nam sprzedać 10 litrów. Na policji czeka na mnie sympatyczny szef z puszką Malty, którą od razu mi zaproponował. Malta to napój, który bardzo lubię – skąd on o tym wiedział? Pierwszy raz w życiu mundurowy funkcjonariusz na służbie zaoferował mi coś do picia. Powiedział, że franciszkański krzyż -tauka na mojej szyi tak go zainspirowała... Pogawędziliśmy chwilę, oczywiście pomocnik w obecności szefa, już nic nie mówił o pieniądzach czyli „formalnościach”. Pożegnaliśmy się i wracamy do RŚA.

W Boyangou, mam trochę czasu by odpocząć, porozmawiać, podyskutować na temat budowy nowej kaplicy, którą br. Maciej Jabłoński ma realizować w tym roku. Później jem obiad przygotowany przez kobiety z wioski – malutkie rybki łowione u stóp potężnego wodospadu, nazywane „szarańczą”, gdyż jak prawdziwa szarańcza pojawiają się masowo raz na kilka lat. Podane są oczywiście z maniakiem...



I wyjazd do Gbawe. Biorę ze sobą Alfreda – tutejszego stolarza. Na miejscu w kaplicy Alfred zajmuje się zbijaniem ławek przywiezionych w częściach kilka dni wcześniej przez br. Maćka. A ja z pomocą kilku chłopaków montuję w ścianach kołki z haczykami by po malowaniu ścian zawiesić Drogę Krzyżową i Krzyż. W międzyczasie przychodzi Marvin – niedoszły uczeń szkoły dla katechistów. Rozmawiam z nim. Marvin podaje różne powody swej odmowy wyjazdu w tym roku do szkoły. Jednak wyczuwam że jeden jest decydujący. Już pięcioro dzieci mu zmarło – gdy miały 2-4 tygodnie życia. Teraz ma dwoje: dwulatka i sześciomiesięczne niemowlę. Jest przekonany, że dzieci żyją wyłącznie dzięki tradycyjnej medycynie, którą stosuje jego rodzony ojciec... Jeszcze raz powtórzyłem mu, że widzimy go jako katechistę, ale nie naciskałem na niego. Wybór bycia „apostolem” musi być całkowicie wolny. Może za rok już odnajdzie tę wolność i pokój duszy.

Program wieczoru jest identyczny jak poprzedniego dnia: spowiedź, Msza św., film i oczywiście przed filmem kolacja – już nie pamiętam co było do jedzenia, ale na pewno maniaku nie brakowało... Muszę przyznać, że nie jest to moja ulubiona potrawa.

Natomiast w niedzielę odprawiam Mszę św. w Boyangou. Ludzie powoli się schodzą. Jest czas na spakowanie się, modlitwę, rytualną kawę. Jednak jeszcze przed Mszą św. przy kawie, rozmawiam

z tutejszym wójtem. Temat jest mniej więcej ten sam, co dzień wcześniej z szefem wioski Gbawe. I w końcu, po uprzedniej spowiedzi, celebrujemy Mszę św. Kaplica oprócz religijnego przeznaczenia, ma też wybitnie charakter... magazynu. No bo gdzie mają trzymać sprzęt do budowy nowej kaplicy? Tylko stary budynek nadaje się do tego. Dlatego nie dziwię w kaplicy deski, druty, taczki, worki cementu itp.

Moją uwagę przykuły również ubiory dzieci. Najpierw 12-letnia dziewczynka, która na głowie miała burkę. Gdybym ją spotkał gdziekolwiek indziej, byłbym pewien na 100% że jest mużlańską... Potem w trakcie Mszy św. przemknęła przed ołtarzem spóźniona pannica-chórzystka w ażurowej bluzce (oczywiście bez żadnej bielizny pod spodem). A wśród kilkuletnich dzieciaków dostrzegam chłopczkę dumnie prezentującego się w troszkę przydługim garniturze: spodnie, marynarka... Kobiety są gustownie ubrane w swoje tradycyjne kreacje afrykańskie, jednak najczęstszym elementem ubioru u kobiet, u mężczyzn i szczególnie u dzieci jest koszulka piłkarska znanego klubu – oczywiście podróbka. Takie są tutejsze trendy w modzie.

Po Mszy św. jem jeszcze szybki obiad – sos z liści manioku i... oczywiście sama klucha manioku. Wracamy na misję do Ngaoundaye. Arsène, chłopak, z którym przyjechałem, żeby uzyskać zaświadczenie o uczęszczaniu do gimnazjum w Yamba zdobył je dla siebie, ale o zaświadczeniach dla dwójki swojego młodszego rodzeństwa nie pomyślał...

W drodze powrotnej zatrzymujemy się w każdej wiosce – są jeszcze różne sprawy do załatwienia: transfer ławek z jednej kaplicy do drugiej, wystawienie kolejnego zaświadczenia o uczęszczaniu dziecka do szkoły, zebranie sprzętu domowego zapomnianego przez uczniów szkoły dla katechistów, itp. W końcu o 15:30 dojeżdżamy do Ngaoundaye. Po przywitaniu się, przekazaniu przesyłek i rozpakowaniu się, jest czas na chwilę wytchnienia i napisania tych kilku słów. Pozdrawiam Was serdecznie, niech Pan nam wszystkim błogosławi.

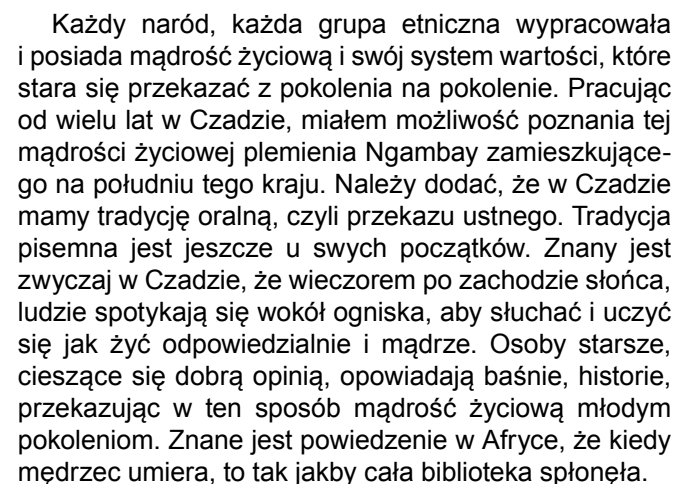
br. Piotrek





pisze br. Piotr Walocha z Bam w Republice Czadu

Wszystkie ludy na ziemi mają swoją mądrość życiową. Ta mądrość jest owocem obecności Ducha Świętego w sercu każdego człowieka, Ducha, który tchnie tam gdzie chce. Jest ona także owocem inteligencji i doświadczenia ludzkiego, nabytego przez wiele wieków historii każdego ludu. Codzienne życie uczy ludzi, jak postępować mądrze. Niewątpliwie ludzkie sumienie odgrywa ogromną rolę w tworzeniu ludzkich postaw, które są oceniane przez dane społeczeństwo jako mądre, więc godne do naśladowania.



Mądrość ludowa, tak jak we wszystkich innych kulturach, jest często wyrażana w Czadzie w przysłowiaach. Tych przysłów jest bardzo dużo. Uczą one cnót i właściwych postaw w relacjach międzyludzkich takich jak: pracowitość, uczciwość, roztropność, dobre wychowanie, miłość do drugiego człowieka, sprawiedliwy sposób rządzenia, pokora, wierność, budowanie szczęścia rodzinnego. Mądrość tych przysłów wskazuje zasady postępowania, dzięki którym człowiek może osiągnąć radość z życia, bogactwo, chwałę i szacunek u ludzi. Przysłów używa się w prywatnych rozmowach, w dyskusjach, na lekcjach w szkole, w wychowaniu dzieci i młodzieży, przy udzielaniu rad i w sadach.

Mówi się w Czadzie, że każde wystąpienie publiczne, przemówienie powinno zawierać przynajmniej jedno przysłowie. Bez niego każda wypowiedź, nawet dobrze przygotowana, traci na wartości. Wynika z tego, że mieszkańcy Czadu bardzo sobie cenią mądrość, którą zawierają przysłowia. Dlatego też w mojej posłudze misyjnej głosząc kazania, staram się często używać przysłów, które mogą pomóc ludziom w zrozumieniu przesłania biblijnego. Przysłowie dobrze dobrane do treści Ewangelii to po-
towa sukcesu kazania w Afryce! Przysłowia w Czadzie to wielkie bogactwo kulturowe, pozwalają misjonarzowi lepiej poznać i zrozumieć tamtejszą ludność.

A teraz przykład jednego z przysłów w języku ngambay w Czadzie: „Taa dene joo to yo”. Taa – wziąć; dene – kobieta; joo – dwa;

to – jest; yo – śmierć. Tłumaczenie na język polski: „Mieć dwie żony to śmierć”.

W Czadzie, tak jak w wielu krajach Afryki, poligamia jest dozwolona. Mężczyzna może mieć dwie, trzy, cztery, dziesięć żon. W Czadzie jest wiele małżeństw poligamicznych. Jednakże jak pokazuje życie codzienne, w takich małżeństwach dochodzi do wielu konfliktów, nieporozumień spowodowanych głównie przez zazdrość. Często cierpią przez to dzieci. Przysłowie to ostrzega przed zawieraniem małżeństw poligamicznych. Zachęca zatem mężczyzn i kobiety do monogamii. Jak widzimy mądrość tego przysłowia idzie w parze z wolą Bożą zawartą na kartach Pisma świętego.

Z pozdrowieniami dla czytelników

br. Piotr Walocha



pisze br. Maciej Jabłoński z Ngaoundaye w RŚA

W mojej posłudze misyjnej ostatnimi czasami, najbardziej użytecznym narzędziem duszpasterskim okazuje się być zakupiony dzięki pomocy MIVA Polska, motor marki Yamaha. Przemierzanie buszu na tym jednośladowie poza aspektem ekonomicznym (paliwo jest tańsze niż w przypadku samochodu), czasowym (można dojechać zdecydowanie szybciej i sprawniej, bo samochodem nie wszędzie daje się dojechać), daje również możliwość przebywania naprawdę blisko natury i drugiego człowieka. Owocuje to rozlicznymi, mniej lub bardziej spodziewanymi spotkaniami. Opiszę kilka krótkich sytuacji, które w moich podróżach do buszu zdarzają się najczęściej.



Tak się nazywa koczowniczy lud pasterzy bydła. Zakładają oni tymczasowe osady, przez kilka miesięcy wypasają trzodę w danym miejscu, po czym likwidują obóz i przenoszą się na nowe pastwiska. Pewnego razu spotkałem dużą grupę Mbororo w czasie mojej podróży na motorze. Na czele szli mężczyźni z krowami, za nimi kobiety z dziećmi i całym dobytkiem przytroczonym do

osiółków. Przyznam, że widok dzieci na grzbiecie osłów pośród bagaży, przywołał mi na myśl karawany z „Baśni tysiąca i jednej nocy”.

Osiołki i Krowy

Bardzo często można spotkać stado krów przecinające drogę, która jest raczej wąską ścieżką niż arterią komunikacyjną. Pośród krów co jakiś czas pojawia się mniej lub bardziej liczne stado osłów. Trzeba mieć się na baczności, by nie wpaść na sympatyczną poniekąd krowę, lub nie nadziać się na róg majestatycznego buchaja.



Nie chodzi mi o baton 3Bit, lecz o grupę rebeliancką okupującą większość naszej parafii. Najbliższy 20, 30-to osobowy oddział stacjonuje jakieś 400 metrów od misji. Uzbrojeni bandyci budzą przerażenie, trudno do tego przywyknąć, ale patologia życia pod okupacją rebeliantów stała się naszą szarą codziennością. Rebelianci samowolnie głoszą, że dbają o bezpieczeństwo i porządek w regionie. Nie prześladowają lokalnych mieszkańców, żyją z pobierania haraczów od pasterzy Mbororo, w zamian za „ochronę” przed złodziejami bydła. Ściągają od stada opłatę w postaci 2 krów i 50 000 FCFA (franków środkowoafrykańskich), co w przybliżeniu przekłada się na jakieś 4 tys. zł. Mimo, że nie nekają miejscowej lud-



ności, jednak mają w rękach broń i ich zachowania nie są przewidywalne. Stąd zasada ograniczonego zaufania jest jak najbardziej adekwatną w tej sytuacji.

Zawalidroga

Rozpoczyna się powoli sezon deszczowy. Pierwsze, gwałtowne burze, nadwyrężyły znacznie i tak już zdezelowane drogi i mosty (często są to konstrukcje z gałęzi, kamieni i ziemi). Człowiek jedzie zadowolony z siebie, że mu droga mija tak spokojnie i gładko, aż tu nagle na jego oczach ciężarówka zrywa przeprawę przez rzekę,



most się rozpada i samochód zakopuje się w błocie aż po osie. Szybka ocena sytuacji, droga będzie zablokowana przynajmniej do jutra, więc trzeba obrać alternatywny szlak, jeszcze bardziej paskudny, ale być może przejezdny. Przebitych opon nikt tu nie liczy, nie ochroni cię przed tym nawet posiadanie całkiem nowych. W drogę zawsze lepiej zabrać ze sobą ze dwa koła zapasowe.

Inicjacja

To wciąż żywa tradycja. Dawniej doświadczenie to trwało dwa, trzy lata. Dziś jest zredukowane do roku, a niekiedy do 6 miesięcy. Chłopaki idą na ten czas do buszu, jedzą co znajdą lub upolują, nie kontaktują się z nikim, uczą nowego języka, takiego dla wtajemniczonych. Po tym okresie wracają do rodzin, stroją się jak panny na wydaniu i paradują tak szukając szczęścia i miłości w życiu.



Podróże do wiosek są codziennym obowiązkiem, który podejmują misjonarze. Spotykamy ludzi na drodze, zwierzęta. Czasem są to spotkania budujące, a czasem trudne i niebezpieczne. Każdy dzień misjonarza, każdy krok i każde spotkanie polecamy Bożej Opatrzności. „Serce człowieka obmyśla drogę, ale Pan Bóg kieruje naszymi krokami” (Prz. 16,9).



Po co byliśmy w Sudanie Południowym?

pisze br. Robert Wieczorek

Ten kraj jest chyba najmniej liczącym się sąsiadem Republiki Środkowoafrykańskiej (RŚA). Przynajmniej tak się wydaje nam, misjonarzom spoglądającym nań z przeciwległego krańca RŚA. Nic nie słyhać o żadnej wymianie handlowej ani o kontaktach politycznych. Oba te kraje zaabsorbowane są całkowicie swoimi problemami wewnętrznymi (powiedzmy jasno: oba są uznane za „państwa upadłe”), pozostają w praktyce życia jakby odwrócone do siebie plecami. Tylko raz przed dziesięciu laty dało się słyszeć coś więcej o „wpływach” Sudanu Południowego na RŚA, gdy bandy LRA (zdegenerowanych ugandyjskich rebeliantów Johna Kony) zaczęły od południowego wschodu infiltrować terytorium środkowoafrykańskie, ale za taki „karmelek w truciźnie maczany” raczej trudno dziękować bezsilnemu sąsiadowi.

Skąd więc to zainteresowanie? Z pewnością chodzi o „solidarność” w biedzie. W Republice Środkowoafrykańskiej i Republice Sudanu Południowego (RSS) jedziemy na jednym wózku: chroniczny niedorozwój ekonomiczny, utrzymujący się przez lata kryzys rządo-

wy i stan permanentnej wojny, częste klęski żywiołowe, destrukcyjny wpływ sąsiednich krajów i światowych mocarstw, do tego presja wojowniczego islamu z północy i wschodu – tworzą skomplikowany obraz sytuacji w tym całym szerokim pasie regionu Afryki subsaharyjskiej. Przed rokiem naszą uwagę przykuł obraz, który obiegi światowe media: papież Franciszek całujący nogi południowo-sudańskich przywódców. Ten ekstremalnie dramatyczny gest, w obecności Prymasa Anglii, był błaganiem skierowanym do elity politycznej Kraju znad Nilu, by jako chrześcijanie, w imię Chrystusa, pojednali się ze sobą i po prostu... dali żyć ludziom umęczonym niekończącą się wojną.

Zaczęliśmy rozmawiać na ten temat w naszym kręgu misjonarzy z Czadu i RŚA, a konsultacja z przełożonymi w Krakowie zaowocowała decyzją, by mnie, piszącego te słowa, odwołać z dotychczasowej misji w celu rozeznania możliwości otwarcia w Sudanie Południowym naszej nowej kapucyńskiej obecności. Jesienią ubiegłego roku zacząłem uczyć się angielskiego, by w styczniu tego roku móc wybrać się do Sudanu Południowego na zwiady.



Wybraliśmy się we dwójkę z br. Augustynem Chwałkiem tworząc zgrany tandem: on zna angielski, ale w Afryce nigdy jeszcze nie był, ja mam me afrykańskie doświadczenie, ale angielski w powijakach. Mieliśmy na ten rekonesans tylko dwa tygodnie – z podróżą w obie strony łącznie, ale chyba poszło nam całkiem nieźle.

Byliśmy już wcześniej w kontakcie z franciszkanami (braćmi mniejszymi) w Dżuba (stolicy kraju) i zaproszeni przez bpa Stefana z Malakal (diecezja na północy), który w listopadzie 2019 r. gościł w Polsce (a przy tym i u nas w Krakowie, z racji zorganizowanej przez Kościół w Potrzebie ogólnopolskiej niedzieli solidarności z Sudanem Południowym). Gościnni franciszkanie udostępnili nam samochód z kierowcą do poruszania się po stolicy, a do specyfiki Sudanu Południowego należy i to, że w odległe miejsca kraju można się stosunkowo łatwo dostać małym samolotem, bo z braku przejezdnych dróg w ostatnich latach rozwinęła się siatka przelotów samolotami pasażerskimi. Bp Stefan zaproponował nam dwa miejsca do odwiedzenia – dwa ekstremalne punkty jego rozległej diecezji – położne na południu miasto Bor, oddalone o 200 km od stolicy i samą siedzibę diecezji Malakal, już blisko granicy z Sudanem. Obydwa miasta usytuowane są nad Nilem.



Posiłek po Mszy św. z biskupem Stefanem

Lecimy najpierw do Bor. To spore i ważne miasto w centrum kraju, stolica jednego ze stanów, również siedziba uniwersytetu. Duże targowisko, port rzeczny, kilkanaście masztów radiowych, wśród których dwa należą do lokalnych rozgłośni, parę hoteli, chociaż drogi bite i dziurawe. Miasto bardzo rozległe, może poszczycić się ładnymi budowlami, ale te powstały dopiero w ostatnich

latach, jakby na otarcie łez, bo to miejsce na początku obecnej dekady było teatrem walk bratobójczych. Większość ludzi mieszka jednak w bardzo skromnych domkach. Za ciekawostkę niech posłuży, że stąd pochodził bohater ruchu wyzwolenia Sudanu Południowego i „ojciec-fundator” państwa John Gorang, tragicznie zmarły w przeddzień uzyskania niepodległości. Przyczyny katastrofy jego helikoptera nie zostały do końca wyjaśnione.



Kościół i zabudowania parafii w Bor

Parafia katolicka mieści się na obrzeżach miasta. To duży, ale zięjący pustką teren. Jest tam jedynie skromna, lecz godna kaplica, dwa małe domki dla proboszcza, nowa i ładna sala spotkań oraz biuro parafialne w kontenerze – to wszystko. Liczbę żyjących na miejscu katolików ocenia się na około 500 osób. Dla zrozumienia dlaczego tak skromna jest ich liczba trzeba wyjaśnić kontekst historyczny. W koloniach brytyjskich hołdowano protestanckiej zasadzie rodem z Europy, żeby dla unikania ewentualnych konfliktów – na ewangelizację poszczególnych regionów dawać pozwolenie tylko jednemu Kościołowi. I w ten sposób teren ten został kiedyś powierzony anglikanom – i oni tu dominują. Nad samą rzeką zwiedzamy ich rozległe centrum: ze szkołami i katedrą, bo to również siedziba biskupa. Oczywiście ten postkolonialny anachronizm już dawno przestał istnieć i teraz ludzie się miesza. Obecność katolicka jest tu raczej w powijakach, a terytorialnie możliwości sprawowania posługi duszpasterskiej sięgają aż do... granicy z Etiopią. Skoro tak skromnie jest w centrum, to co musi być w buszu? Robota nie do przerobienia. Sakramenty są sprawowane po angielsku i w dialekcie arabskim z Dżuba. Bp Stefan nie krył, że zaprosił nas tutaj, byśmy rozważyli możliwość objęcia tej misji. Teren jest rozległy, ale blisko stolicy i sytuacja raczej stabilna, więc powinno to być dobre miejsce na początek.

Po powrocie do stolicy spotykamy się z polskimi komboniami, o. Krzysztofem i o. Jackiem, którzy akurat są przejazdem w ich domu macierzystym, Comboni House. Dzielą się z nami paroma cennymi uwagami na temat pracy w tym kraju, a my możemy dotknąć czegoś z historii tego miejsca, bo św. bp Daniel Comboni, obok naszego Sługi Bożego kardynała Wilhelma Masai z Etiopii, w połowie XIX wieku był pionierem pracy misyjnej w Czarnej Afryce i jej ambasadorem na Soborze Watykańskim I. Kombonianie po tragedii powstania Mahdiego, kiedy to wszystkie kwitnące na południu mi-



Obóz dla uchodźców w Dżubie

sje zostały obrócone w perzynę, a misjonarze poszli do niewoli, powrócili tam zaraz na początku XX w. po upadku mahdystów i stali się fundamentem ewangelizacji całego tamtego regionu. W Dżuba pracują też salezjanie, gdzie jest i Polak, ks. Waldemar, dyrektor imponującego zespołu szkół zawodowych dla 5 tysięcy młodzieży.

Interesuje nas też Uniwersytet Katolicki. Nowa uczelnia, od paru lat stawiająca swe pierwsze kroki, ale bardzo ważna, bo obok przygotowania profesjonalnych kadr dla kraju liczącego na możliwy w końcu rozwój, chce też wszczepić młodym ludziom model chrześcijańskiego uniwersalizmu i Katolickiej Nauki Społecznej. Ma to stanowić antidotum na podziały trwające w społeczeństwie od dziesiątek lat „na wojnę każdego z każdym”.

Jedziemy na weekend do Malakal. Tam dopiero brutalnie widać, co to znaczy szaleństwo wojny domowej. Niegdyś kilkuset tysięcy, drugi po stolicy ośrodek w kraju, teraz liczy raptem kilka tysięcy mieszkańców. W spustoszonej miejscowości ostali się tylko Dinka, bo są największym plemieniem i to do nich od początku należy władza. Nuerowie, którzy kiedyś dali się ponieść żądzy odwetu i przed paru laty napadli na Malakal przyczyniając się poważnie do jego destrukcji, teraz ponoszą konsekwencje, bo musieli szukać schronienia w obozach dla uchodźców. Jeden z takich obozów na 35 tysięcy ludzi jest niedaleko miasta, a inne porzucane są po całym terytorium kraju i za granicą. Samych tylko wewnętrznych uchodźców, po ostatnich walkach, jest w Sudanie Południowym ponad milion, a dwa razy tyle poza granicami kraju (na 13 mln wszystkich obywateli). To co powiedziałem wcześniej o Nuerach bynajmniej nie oznacza, że ich adwersarze byli lepsi. Dinka po prostu, jak do tej pory, zwycięsko wychodzą z walk, ale właśnie ta nieokiełznana ambicja tego najliczniejszego plemienia – by narzuć swą dominację pozostałym – jest jednym z głównych źródeł konfliktu.

Jadąc na misję przy katedrze mamy możliwość doświadczyć, jak wygląda miasto-widmo. Żywego ducha nie uświadczysz. Dopiero w centrum zaczynają się szwendać jacyś ludzie. W katedrze św. Józefa, zbudowanej na modłę afrykańską, czyli jak okrągła chata, spotyka nas niespodzianka – cała masa ludzi. Zaczęła się właśnie Msza św. w drugą rocznicę śmierci byłego biskupa. Celebrytuje ją bp Stefan w asyście trzech kapłanów. Jednym z nich jest ks. Michel, Amerykanin, proboszcz w obozie dla uchodźców. Ci ludzie tam obecni w większości przyszli na tę uroczystość z obozu, ale zaraz po Mszy będą wracać do obozu na noc. Rzadko kto ma odwagę zostać w mieście. Po skończonych uroczystościach Biskup pokazuje nam misję i miasto, a raczej to, co po nim zostało. Sam mieszka w prymitywnych warunkach, bo jego dom został zarekwirowany przez wojsko. Katolicka szkoła podstawowa mogła zrekrutować jedynie stu uczniów, bo reszta chroni się w obozie (tam jest 15 szkół, a i to za mało). Jeździmy po traktach umownie zwanymi drogami – raczej zarośnięte miejsca wskazują gdzie one kiedyś przebiegały, a wzdłuż nich stoją metalowe szkielety, pozostałości po spalonych domach. Punktami docelowymi dla nas jest kilka obszer-



Przed szkołą katolicką w Malakal

nych kościołów, które kiedyś były pełne. Przetrwały, ale noszą ślady walk – odpryski tynku to nie fuszerka budowlana, lecz robota kul karabinowych, które pozostawiły też w blaszanych dachach punktowe świetliki.

Noc mamy spędzić w obozie dla uchodźców, bo nawet gdybyśmy teoretycznie w nędznych warunkach na misji katolickiej znaleźli jakieś miejsce, gdzie można by było głowę ułożyć, to w opinii naszych gospodarzy jest tu niebezpiecznie. W obozie ks. Michel pokazuje nam swą blaszaną kaplicę i warunki w jakich mieszkają ludzie – całe hektary chat z białego brezentu. Obóz jest podzielony na sektory, których granice wyznaczają większe drogi dojazdowe. Agencje ONZ-owskie i organizacje humanitarne zorganizowały wszystko, co jest



U kapelana ks. Michela w obozie dla uchodźców w Malakal

konieczne do życia w obozie: uzdatnioną do picia wodę z Nilu, osobno wodę do higieny osobistej i latryny, codzienną dystrybucję jedzenia na każdą rodzinę, podstawową ochronę zdrowia w polowych klinikach, szkoły i kaplice.... Wszystko tam mają za darmo, tylko jednego nie mają: brakuje im wolności życia u siebie. Ta złota klatka bezpieczeństwa funkcjonuje już od 7 lat, a masa wszędobylskich dzieci, które już tam się narodziły, nie zna co to znaczy normalne życie... I to jest dramat wszystkich obozów: potrzeba dania ludziom schronienia wobec niebezpieczeństwa śmierci jest bezdyskusyjna, ale kiedy ich odesłać do siebie? Do podjęcia takiej decyzji nie ma mądrych.

My z uchodźcami oczywiście w jednym namiocie nie będziemy spali, ale spędzimy noc w kontenerowym miasteczku dla pracowników humanitarnych. Taki pokój ma wszystkie media, łącznie z klimatyzacją, TV i internetem (można się tu lepiej wyspać, niż w gorącej upalnej nocy w Dżuba, gdzie bracia franciszkanie mają w celach tylko wentylatory). Gdzie tylko jesteśmy, tak



Augustyn i Robert podróżują Nilem na Mszę św. w Alei

ludzie Kościoła jak i ci prości Sudańczycy, wszyscy jednym głosem wtórują: oby wreszcie zwaśnione strony polityków się dogadały i utworzyły wspólny rząd! Mają na to sto dni – do końca lutego 2020r.

Temu pragnieniu ma służyć wydarzenie, na które jesteśmy zaproszeni następnego dnia. W niedzielny poranek dużą łodzią motorową płyniemy po Nilu do miejscowości Alei. Bp Stefan w asyście lokalnych władz i notabli oraz w obecności przedstawicieli misji ONZ ma tam odprawić Mszę św. dla zgrupowania żołnierzy pochodzących z kilku milicji plemiennych, zwaśnionych wcześniej ze sobą, ale teraz zintegrowanych w proces pojednania narodowego i w trakcie tworzenia jednej wspólnej armii republikańskiej. Frajda przejażdżki po Nilu ustępuje szybko we mnie miejsca uczuciu trwogi. Widok setek żołnierzy na brzegu rzeki przywołuje mi traumę rebelii przeżytych w RŚA. Ci wysocy Niloci, szczupli i czarni, ubrani w takie same uniformy, łudząco przypominają mi twarze muzułmańskich najemników z Czadu, których ciężką rękę odczułem na własnej skórze. Tyle, że Ci przyjaźnie wyciągają ręce do abuna (ojciec) wymawiając czasem swe chrześcijańskie imiona...Lżej nieco na duszy, ale ci zbrojni przecież też niejedno mają na



Augustyn w rozmowie z przywódcą plemiennym

sumieniu. Msza św. jest odprawiana na wielkim placu w buszu i cała w języku arabskim. Taki to tutaj paradoks, że dla zwaśnionych ze sobą Dinka, Nuerów, Shiluków czy Murle, to ten język, język islamu i niegdysiejszych okupantów z północy, jest neutralną płaszczyzną porozumienia. To nie angielski (też postkolonialny i znany tylko przez nielicznych), ale arabski jest lingua franca dostępną dla większości.

Wybieramy się jeszcze na koniec podróży w przeciwną stronę kąt Sudanu Południowego do Yambio, blisko granicy z RŚA i Republiką Demokratyczną Konga (RDK). To odskocznia od tego, co widzieliśmy do tej pory. Ten skrawek ziemi uchował się w większości od wojennej zawieruchy. Czuję się tam swojsko, bo widoki i aura zbliżone są do RŚA. Ale i Kościół jest tu inny. W pięknym budynku kurii pracuje kilkanaście osób. Bp Eduardo opowiada nam o sytuacji: 70% procent populacji diecezji to katolicy, ma tu 35 parafii, ponad 40 księży, 50 semina-

rystów w seminarium na miejscu i nastu za granicą, filię Uniwersytetu Katolickiego, wiele szkół i projektów. Nie ten świat! Otrzymujemy i tutaj zaproszenie, by wesprzeć formację młodych do kapłaństwa, czy też do animacji duchowej diecezji. I jest w tym logika: wychować lokalne solidne powołania, a ci Afrykańczycy sami powinni lepiej niż my kontynuować dzieło ewangelizacji swego ludu. Biskup z Yambio znając trudności personalne diecezji Malakal zamierza w przyszłości posłać tam z pomocą kilku swych kapłanów.



Powitanie na lotnisku w Yambio



Spotkanie z bp Eduardem i władzami miasta w Yambio.

Do Polski wróciliśmy oboje z podobną oceną sytuacji, że warto byłoby wyjść naprzeciw Kościołowi w Sudanie Południowym i zachęcić braci kapucynów z Krakowa do wysłania tam kilku braci na misje. Zdecyduje o tym zbliżająca się kapituła w kwietniu i nowy zarząd Prowincji. W Sudanie Południowym tworzy się nowy rząd i rosną szanse na lepszą przyszłość. Sprawę nowej misji niesiemy w sercach Duchowi Świętemu do rozeznania, i również Was, Dobrodzieje naszych kapucyńskich misji, prosimy o modlitwę.

br. Robert Wieczorek

Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Wspieraj misje swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



KRS: 0000356850

Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFMCap (red. naczelny)
Diana Bonowicz,
Nakład: 5500 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





TWÓJ

DOKONA WIELKIEJ ZMIANY

nakarmimy dzieci
zbudujemy szkoły
zbudujemy studnie

**PRZEKAŻ 1% PODATKU NA RZECZ FUNDACJI
KAPUCYNI I MISJE KRS: 0000356850**



FUNDACJA
KAPUCYNI I MISJE

PRZYŁĄCZ SIĘ DO MISJONARZY KAPUCYNÓW!
www.fundacja.kapucyni.pl